MAPA PRZEZNACZENIA

GLENN COOPER

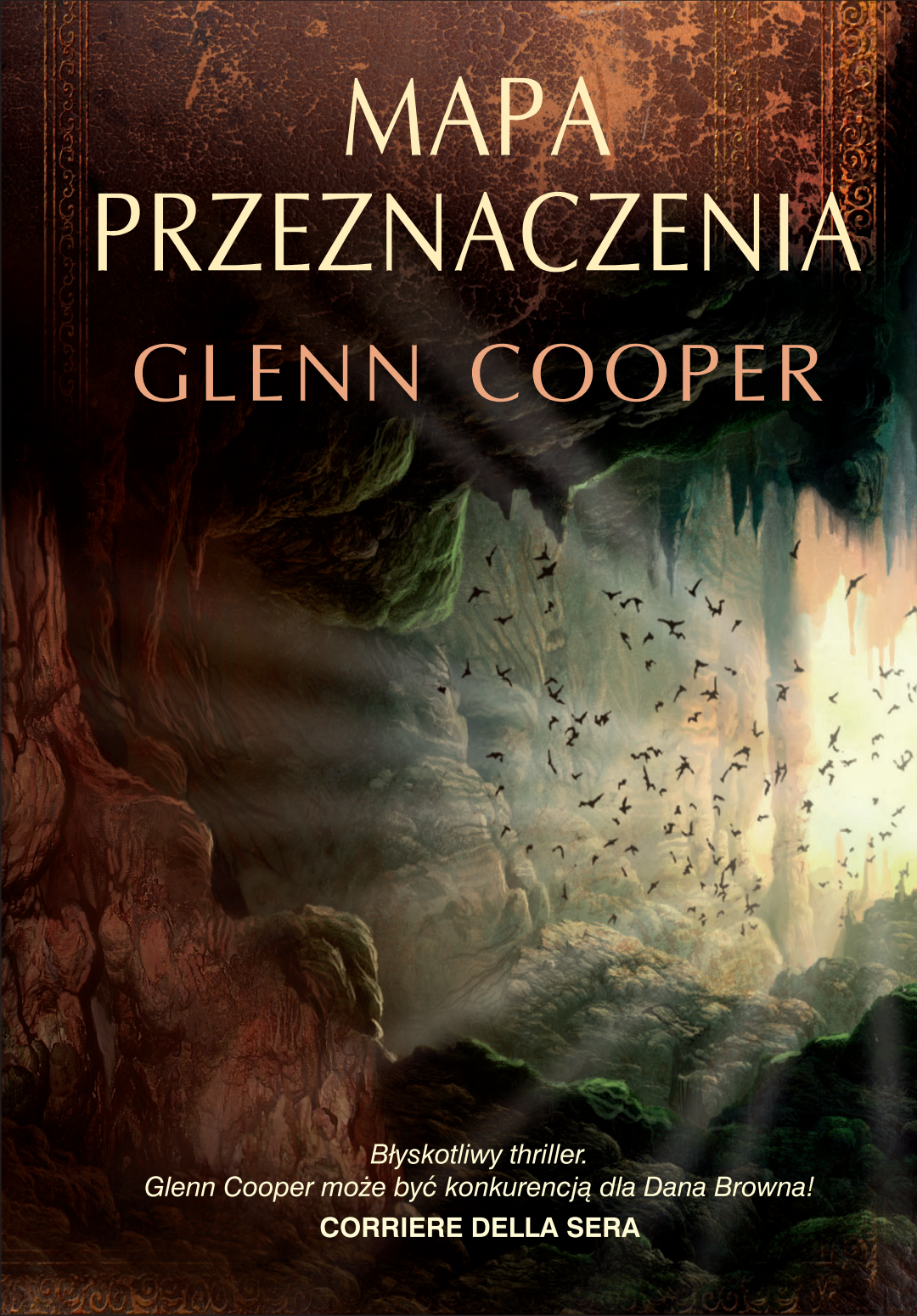

Błyskotliwy thriller.
Glenn Cooper może być konkurencją dla Dana Browna!
CORRIERE DELLA SERA

PROLOG

Region Périgord, Francja, rok 1899

Dwaj mężczyźni ciężko dyszeli, zsuwając się po śliskim gruncie i próbując znaleźć sens w tym, co przed chwilą ujrzeli.

Niespodziewana letnia ulewa zupełnie ich zaskoczyła. Wędrująca szybko nawałnica nadeszła, gdy badali jaskinię, i błyskawicznie zalała strugami deszczu wapienne urwiska, aż pionowe skalne ściany pociemniały, a nad całą doliną rzeki Vézère zawisła niska powała ciemnych chmur.

Zaledwie godzinę wcześniej, stojąc na skalnej półce w ścianie klifu, Édouard Lefevre, dyrektor szkoły, wskazywał młodszemu kuzynowi Pascalowi charakterystyczne punkty terenu. Na tle błękitnego nieba rysowały się wyraźnie w oddali iglice wież kościelnych. Promienie słoneczne odbijały się jaskrawymi odblaskami od powierzchni rzeki. Na rozległej równinie rozciągały się pola dorodnego jęczmienia.

Lecz kiedy po wypaleniu ostatniej zapałki wyszli z mrocznej jaskini na światło dzienne, odnieśli takie wrażenie, jakby malarz zdecydował się zacząć od nowa i zamazał cały krajobraz szarą farbą.

Pod górę szło im się łatwo i bez pośpiechu, za to podczas drogi powrotnej nastąpiły dramatyczne momenty, gdy kaskady deszczu siekły strome zbocza, czyniąc ścieżki błotnistymi i zdradliwymi. Co prawda obaj zaliczali się do wytrawnych piechurów i nosili odpowiednie obuwie, ale żaden nie miał doświadczenia w poruszaniu się po wąskich i śliskich półkach skalnych w zacinającym deszczu. Mimo to ani razu nie pomyśleli o powrocie i szukaniu schronienia w jaskini.

— Koniecznie musimy powiadomić władze! — oznajmił

Édouard, ocierając pot z czoła i przytrzymując gałąź, żeby Pascal mógł bezpiecznie przejść. — Jeśli się pospieszymy, wrócimy do hotelu przed zapadnięciem zmroku.

Raz za razem musieli łapać się konarów drzew, żeby nie upaść, a w pewnym momencie Édouard nawet chwycił Pascala za kołnierz, kiedy przestraszył się, że kuzyn straci równowagę i runie w przepaść.

Zanim dotarli do samochodu, byli przemoczeni do suchej nitki. Auto należało do Pascala, a właściwie do jego ojca, gdyż tylko ktoś tak bogaty, jak dobrze prosperujący bankier, mógł sobie pozwolić na samochód równie nowoczesny jak Peugeot typ 16. Lecz chociaż miał dach, ulewa wlała się do wnętrza. Jedynie koc wciśnięty pod fotel okazał się stosunkowo suchy, ale przy prędkości sięgającej dwudziestu kilometrów na godzinę obaj i tak szybko zaczęli dygotać z zimna, toteż propozycja zatrzymania się w pierwszej kawiarni przy drodze i wypicia czegoś na rozgrzewkę została przyjęta jednogłośnie.

W wiosce Ruac znajdowała się tylko jedna kawiarnia, a o tej porze dnia przy małych okrągłych stolikach siedziało kilkunastu klientów. Bez wyjątku byli to ogorzali, na oko gburowaci wieśniacy, i gdy do lokalu weszli obcy, wszyscy jak jeden mąż urwali w pół słowa. Byli wśród nich myśliwi polujący na dzikie ptactwo, którzy zostawili strzelby oparte rządkiem o ścianę na tyłach kawiarni. Jakiś starszy człowiek wskazał przez okno samochód, powiedział coś szeptem do człowieka stojącego za ladą i zaczął gardłowo chichotać.

Édouard i Pascal, wyglądający jak zmokłe szczury, usiedli przy wolnym stoliku.

— Dwie duże brandy! — złożył głośno zamówienie starszy z nich. — Im szybciej, tym lepiej, monsieur, bo jeszcze skonamy tu na zapalenie płuc!

Właściciel kawiarni sięgnął po butelkę i ją odkręcił. Był mężczyzną w średnim wieku z kruczoczarnymi włosami, długimi bokobrodami i dłońmi pełnymi odcisków.

— To wasz? — zapytał Édouarda, ruchem głowy wskazując za okno.

— Mój — odpowiedział Pascal. — Widzieliście tu już taki automobil?

Właściciel lokalu pokręcił głową i zrobił taką minę, jakby chciał

splunąć na podłogę, ale zapytał tylko:

— Skąd przybywacie?

Klienci kawiarni znowu zamilkli. Wizyta obcych była ich jedyną wieczorną rozrywką.

— Przyjechaliśmy na wakacje — odrzekł Édouard. — Zatrzymaliśmy się w Sarlat.

— Kto przyjeżdża do Ruac na wakacje? — zdziwił się z uśmiechem właściciel, stawiając przed nimi kieliszki z brandy.

— Niedługo przyjedzie tu mnóstwo ludzi — zapewnił Pascal, lekko urażony pogardliwym tonem mężczyzny.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Gdy tylko rozejdą się wieści o naszym odkryciu, będziecie tu gościli ludzi aż z samego Paryża — oznajmił z dumą. — A nawet z Londynu.

— Odkrycie? Jakie odkrycie?

Édouard chciał uspokoić kuzyna, lecz ten, wyraźnie pobudzony, nie zamierzał milczeć.

— Wybraliśmy się na spacer krajoznawczy wzdłuż krawędzi urwiska. Wypatrywaliśmy rzadkich ptaków, ale znaleźliśmy jaskinię.

— Gdzie?

Kiedy opisywał marszrutę, Édouard jednym haustem wypił trunek i gestem poprosił o drugi kieliszek.

Właściciel kawiarni zmarszczył czoło.

— W tej okolicy jest wiele jaskiń. Cóż tak niezwykłego zobaczyliście w tej, na którą się natknęliście?

Gdy tylko Pascal zaczął mówić, Édouard wyczuł, że wszyscy obecni wpatrują się w usta jego kuzyna, chciwie łapiąc każde słowo. Jako nauczyciel zawsze podziwiał jego umiejętność opowiadania, ale teraz, słuchając tej kwiecistej relacji, wrócił myślami do właśnie odkrytego przez nich cudu.

Zamknął nawet na chwilę oczy, by szybciej przypomnieć sobie obrazy, które wyłowiły z mroku rozmigotane płomyki zapałek, toteż uszło jego uwagi, że barman lekko skinął głową ludziom siedzącym za nimi.

Z zamyślenia wyrwał go głośny trzask. Właściciel kawiarni patrzył na niego, wydymając wargi.

Uśmiechał się?

Kątem oka spostrzegł, że głowa Pascala opadła na piersi i że

leci z niej krew, ale miał tylko czas, żeby jęknąć:

— Och!

I jego głowę przeszyła kula.

. . .

W kawiarni unosił się zapach prochu.

Zapadła cisza, aż w końcu mężczyzna z myśliwską strzelbą w rękach zapytał:

— I co teraz z nimi zrobimy?

Barman zaczął wydawać polecenia:

— Zabierzcie ich do gospodarstwa Duvala, poćwiartujcie i rzućcie świniom na pożarcie. A gdy zapadnie zmrok, ściągnijcie konie i odholujcie tę ich maszynę gdzieś daleko.

— A więc ta jaskinia naprawdę istnieje — mruknął staruszek.

— Czyżbyś kiedykolwiek w to wątpił? — syknął właściciel kawiarni. — Zawsze wiedziałem, że ktoś ją w końcu odnajdzie.

Spojrzał na leżącego u jego stóp Édouarda i pomyślał, że może splunąć i nie będzie musiał potem czyścić podłogi.

Grudka flegmy wylądowała na zakrwawionym policzku mężczyzny.

1

Zaczęło się od zwarcia w pogryzionym przez myszy kablu biegnącym głęboko pod tynkiem.

Iskra spadła na listwę z kasztanowego drewna i roznieciła żar. A gdy stara wysuszona deska buchnęła płomieniem, z północnej ściany klasztornej kuchni zaczął wydobywać się dym.

Gdyby stało się to w dzień, kucharz lub któraś z sióstr — może nawet sam opat Menaud, który lubił tu zaglądać na szklankę ciepłej wody z cytryną — z pewnością wszczęliby alarm albo przynajmniej sięgnęli po gaśnicę wiszącą pod zlewem, ale stało się to w nocy.

Z kuchnią sąsiadowała biblioteka opactwa. Z jednym wyjątkiem, nie było w niej niczego szczególnie ważnego albo cennego, lecz stanowiła nieodłączny element historii tej okolicy, tak samo jak napisy na sarkofagach w krypcie lub nagrobkach na cmentarzu.

Oprócz gromadzonych przez pięć wieków najważniejszych publikacji kościelnych oraz kolejnych wydań Biblii znajdowały się tu dokumenty związane z bardziej świecką i przyziemną stroną życia opactwa, a więc rejestry urodzin i zgonów, akta spisów powszechnych, podręczniki lecznictwa i zielarstwa, księgi rachunkowe, a nawet tajne przepisy na warzenie piwa i wyrób pewnych gatunków sera. Tym jedynym cennym tekstem było trzynastowieczne wydanie *Reguły świętego Benedykta*, tak zwanej wersji z Dijon, jednego z pierwszych przekładów z łaciny na starofrancuski. Dla podrzędnego opactwa cysterskiego, położonego w samym sercu Périgord, ten średniowieczny egzemplarz dzieła ich patrona był czymś niezwykłym, nic więc dziwnego, że zajmował

honorowe miejsce na samym środku regału stojącego pod ścianą, w której wybuchł ogień.

Biblioteka mieściła się w przestronnej sali z wysokimi witrażowymi oknami i kamienną posadzką z mniej lub bardziej równych kwadratowych i prostokątnych płyt, ułożonych trochę krzywo, przez co pod nogami masywnego głównego stołu trzeba było umieścić podkładki, żeby się nie kołysał, gdy mnisi i siostry opierają na nim łokcie, ani tym bardziej nie zakłócał ciszy ciągłym stukaniem o podłogę.

Regały ciągnące się pod ścianami i sięgające sufitu, wykonane z wielowiekowego orzecha w czekoladowym odcieniu, były wypolerowane przez czas. Teraz spowijały je kłęby dymu. Gdyby nie prostata od dawna dokuczająca bratu Marcelowi, ta noc mogłaby się skończyć zupełnie inaczej. W celi mieszczącej się po przeciwnej stronie dziedzińca starszy mnich obudził się po raz kolejny, żeby pójść do toalety, i od razu wyczuł w powietrzu dym. Na powykręcanych artretyzmem nogach zszedł niezgrabnie po schodach do głównego holu i zaczął krzyczeć: „Pali się!". Wkrótce na wysypanej żwirem alejce prowadzącej w głąb opactwa trapistów pojawił się nowoczesny, budzący powszechny podziw wóz ochotniczej straży pożarnej marki Renault.

Brygada podlegała związkowi Périgord Noir, obejmującemu gminy leżące po północnej stronie rzeki Vézère. Jej dowódca, Bonnet, pochodził z Ruac i doskonale znał opactwo. Na co dzień był właścicielem kawiarni, przewyższał wiekiem swoich podwładnych i roztaczał wokół aurę zaradnego i obrotnego szefa prywatnej firmy, będącego po godzinach wysokim rangą oficerem straży pożarnej. W przejściu do biblioteki prześliznął się obok opata Menauda, który w krzywo włożonym białym habicie z czarnym szkaplerzem przypominał pingwina. Wymachiwał krótkimi rękami i krzyczał gardłowo:

— Szybko! Szybko! Biblioteka!

Szef rozejrzał się po zadymionej sali, po czym kazał załodze rozwinąć węże i przeciągnąć je do środka budynku.

— Chyba nie zamierzacie pompować tu wody?! — zaprotestował opat. — Książki!

— Więc jak ojciec proponuje zwalczyć ogień? — zapytał Bonnet. — Modlitwą? — Odwrócił się do porucznika straży, mechanika samochodowego, od którego mocno zalatywało winem.

— Ogień rozpala się w tej ścianie. Zwalcie ten regał na podłogę!

— Błagam! — jęknął opat. — Miej litość nad moimi książkami!

Nagle z przerażeniem zauważył, że bezcenny tekst świętego Benedykta znajduje się na drodze płomieni. Wyminął Bonneta i pozostałych strażaków, zdjął manuskrypt z półki i przycisnął go do piersi niczym niemowlę.

Kapitan straży pożarnej wrzasnął przenikliwie:

— Nie mogę wykonywać swoich obowiązków, gdy on mi przeszkadza! Niech ktoś go stąd zabierze! Ja tu dowodzę!

Mnisi stojący z tyłu podbiegli, złapali opata pod ręce i delikatnie, lecz stanowczo pociągnęli tam, gdzie było mniej dymu. Bonnet chwycił topór, z zamachem wbił jego szpiczasty koniec w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stała *Reguła świętego Benedykta*, wersja z Dijon, i z całej siły szarpnął regał w swoją stronę. Topór przebił grzbiet jakiejś książki, zanim zagłębił się w drewnie, więc na wszystkie strony posypały się strzępy papieru. Masywny regał pochylił się kilka centymetrów, a na podłogę poleciały manuskrypty. Komendant szarpnął po raz drugi, a inni strażacy zrobili to samo z kolejnymi regałami.

Bonnet, który zawsze miał problemy z czytaniem i żywił do książek coś w rodzaju nienawiści, poczuł teraz iście sadystyczną przyjemność. Trzeba było jednak aż czterech krzepkich mężczyzn z toporami wbitymi w półki, zanim poprzedzony lawiną sypiących się na podłogę książek, co przypominało skalne osuwisko na jednej z lokalnych górskich dróg, regał zwalił się na kamienną posadzkę.

Gdy tylko zaczął się przechylać, ludzie rozpierzchli się na boki, ale Bonnet natychmiast kazał im wspiąć się na regał leżący krzywo na stercie tomów, by gasić płonącą ścianę. Ciężkie buty zadudniły na cienkiej orzechowej płycie, a komendantowi noga wpadła między półki.

— Dobrze! — krzyknął niezrażony, sapiąc z wysiłku. — Rozbijcie tę ścianę i lejcie do środka wodę!

. . .

Kiedy nastał świt, strażacy wciąż jeszcze polewali wodą miejsca, w których płonął ogień. Mimo to opata wpuszczono już do środka. Wyglądał jak przygarbiony i roztrzęsiony starzec, powłóczył nogami, choć był dopiero po sześćdziesiątce.

Wydarzenia tej nocy wyraźnie dodały mu lat.

Gdy zobaczył zniszczenia, zaczął płakać. Regały były porozbijane, druki mokre, a wszystko pokrywała gruba warstwa sadzy. Spalona ściana w dużej części została wyburzona, a przez powstały otwór widać było kuchnię. Zastanawiał się, dlaczego strażacy nie mogli walczyć z pożarem od tamtej strony? Dlaczego uznali za konieczne zniszczenie tylu książek? Na szczęście opactwo ocalało i nikt nie zginął, a za to mógł jedynie dziękować Bogu. Trzeba kontynuować swoje dzieło. Jak zawsze.

Bonnet podszedł do niego, przechodząc przez stertę gruzu, i podał gałązkę oliwną:

— Przepraszam, że obszedłem się z tobą tak szorstko, ojcze. Wykonywałem tylko swoje obowiązki.

— Tak, wiem, wiem — odparł matowym głosem opat. — Ja po prostu... no, cóż, takie zniszczenia...

— Niestety, pożary to nie są delikatne sprawy. Niedługo odjeżdżamy. Mogę polecić firmę, która pomoże posprzątać. Prowadzi ją brat jednego z moich ludzi w Montignac.

— Sami to zrobimy — odrzekł opat.

Błądził wzrokiem po zasłanej książkami posadzce. Schylił się, żeby podnieść nasiąkniętą wodą Biblię, której szesnastowieczna skórzana oprawa już zalatywała lekko słodkawą wonią rozwijającej się gwałtownie pleśni. Z przyzwyczajenia przetarł ją rękawem raz i drugi, nim zdał sobie sprawę z daremności tych poczynań, i odłożył Biblię na stół do czytania, stojący teraz pod jedynym ocalałym regałem.

Pokręcił głową i miał już iść na poranne modlitwy, gdy coś przykuło jego uwagę.

W rogu sali, w pewnej odległości od stosów zrzuconych z półek książek, leżał tom, którego nie mógł sobie przypomnieć. Opat był uczonym z tytułem naukowym, ukończył teologię na Uniwersytecie Paryskim. Przez ponad trzy dekady te woluminy stały się jego towarzyszami. Było tak, jakby miał kilka tysięcy dzieci i znał imiona i daty urodzenia każdego z nich.

Ta książka stanowiła wyjątek. Nigdy wcześniej jej nie widział, był tego pewny.

Jeden ze strażaków, uczynny tyczkowaty chudzielec, przyglądał się uważnie, jak opat podchodzi i pochyla się, by z bliska obejrzeć tom.

— Ta wygląda jakoś dziwnie, prawda, ojcze?
— Tak, zgadza się.
— To ja ją znalazłem — rzekł z dumą strażak.
— Znalazłeś ją? Gdzie?
Chłopak wskazał miejsce, gdzie kiedyś była ściana.
— Dokładnie tutaj. Była schowana w ścianie. O mało nie trafiłem jej toporkiem. Spieszyłem się, więc tylko ją wyciągnąłem i rzuciłem w kąt. Mam nadzieję, że za bardzo nie ucierpiała.
— Powiadasz, że była schowana w ścianie?
Opat podniósł książkę i od razu spostrzegł, że jej waga jest nieproporcjonalna do wielkości. Była pięknie oprawiona, nieduża, niewiele większa od współczesnych wydań kieszonkowych, do tego dość cienka. Sporo ważyła, bo papier nasiąkł wodą jak gąbka, strumyki spływały mu między palcami.
Oprawa została wykonana ze skóry o wyraźnie czerwonawym odcieniu, zwłaszcza na środku, gdzie znajdowała się wytłoczona podobizna świętego w długiej zwiewnej szacie, z aureolą nad głową. Grzbiet zdobiła elegancka sznurowa plecionka, rogi i szczyty grzbietu były wzmocnione srebrną blaszką pokrytą patyną, a w rogach i na środku oprawy, dokładnie na brzuchu wytłoczonego świętego, znajdowało się pięć srebrnych guzów wielkości grochu. Z tyłu, mimo braku tłoczeń, również umieszczono takie guzy. Książkę spinały dwie srebrne klamry, mocno ściskające arkusze mokrego pergaminu.
Opat ocenił, że pochodzi z XIII lub XIV wieku, miał więc nadzieję, że jest bogato ilustrowanym, bardzo cennym manuskryptem.
Ale była ukryta. Dlaczego?
— Co to jest? — zainteresował się Bonnet, stając obok i wysuwając do przodu wydatny podbródek niczym dziób żaglowca. — Mogę zobaczyć?
Zaskoczony nagłym wtargnięciem w jego myśli, opat odruchowo podał mu książkę. Bonnet pospiesznie wcisnął paznokieć pod pierwszą klamrę i ta odskoczyła. Druga trzymała mocniej, lecz także otworzyła się bez trudu. Szarpnął do góry okładkę i gdy już się wydawało, że dokona niezwykłego odkrycia, okazało się, że książki nie można otworzyć. Nadmiar wody sprawił, że stara okładka i pergaminowe kartki tak do siebie przywarły, jakby je sklejono. Sfrustrowany, zaczął siłą odciągać brzegi okładki, ale i

to nie przyniosło rezultatu.

— Przestań! Dość tego! — wykrzyknął opat. — Zniszczysz ją. Oddaj, proszę.

Komendant straży prychnął pogardliwie i podał mu książkę.

— Myślisz, że to Biblia? — zapytał.

— Nie, raczej nie.

— A więc co?

— Nie wiem, ale mam tego ranka ważniejsze sprawy na głowie. Zajmę się nią innego dnia.

Nie zamierzał jednak traktować książki z pogardą. Wetknął ją pod pachę, zaniósł do swojego gabinetu i rozłożył na biurku biały ręcznik do rąk. Ostrożnie umieścił na nim książkę i delikatnie musnął palcami wytłoczony na okładce wizerunek świętego. Następnie pospieszył do kościoła, żeby odprawić poranne nabożeństwo.

. . .

Trzy dni później przez bramę opactwa wjechał samochód z wypożyczalni i zanim stanął na miejscu dla gości, umocowany na desce rozdzielczej odbiornik GPS poinformował kierowcę kobiecym głosem, że dotarł do celu.

— Dziękuję, wiem o tym — mruknął Hugo Pineau.

Wysiadł i mimo iż miał na nosie drogie ciemne okulary, zamrugał szybko, gdyż południowe słońce wisiało wprost nad wieżą kościoła niczym kropka nad i. Wziął z tylnego siedzenia teczkę i ruszył przez wysypany żwirem placyk, krzywiąc się z irytacji, ponieważ z każdym krokiem podeszwy jego nowiutkich skórzanych butów przechodziły brutalny chrzest bojowy.

Nie znosił obowiązkowych wizyt w terenie. Zazwyczaj cedował ten obowiązek na Isaaka, kierownika do spraw rozwoju, ale biedak zdążył już wyjechać na sierpniowe wakacje. A ponieważ zamówienie napłynęło do spółki H. Pineau Konserwacja Książek od samego arcybiskupa Bordeaux, bardzo ważnego klienta, nie mogło być mowy o odwlekaniu wizyty, żeby nie stracić opinii firmy świadczącej usługi najwyższej jakości.

Opactwo było duże i imponujące. Położone w enklawie otoczonej lasami i łąkami, z dala od dróg szybkiego ruchu, odznaczało się architektoniczną prostotą. Mimo że wieża kościelna pochodziła z X wieku, a może była jeszcze starsza, samo opactwo

wzniesiono w XII wieku, jako siedzibę zakonu cystersów, ale do wieku XVII było regularnie rozbudowywane. Oczywiście zawierało elementy dwudziestowieczne w postaci napowietrznych linii wysokiego napięcia czy hydrauliki, lecz ogólnie rzecz biorąc, kompleks przez setki lat niewiele się zmienił. Tak więc opactwo Ruac było wspaniałym przykładem architektury romańskiej, budowlą z białego i żółtego wapienia wydobywanego w pobliskich kamieniołomach szpecących dolinę rzeki Vézère.

Katedrę — proporcjonalną budowlę na planie krzyża — z pozostałymi zabudowaniami: internatem, kapitularzem, domem opata, budynkami klasztornymi, średniowiecznymi termami, starym browarem, gołębnikiem, kuźnią oraz biblioteką łączył ciąg dziedzińców.

Hugo, eskortowany przez mnicha, od razu trafił do biblioteki, chociaż sam mógł odnaleźć drogę z zawiązanymi oczami, jako że często miał do czynienia z pogorzeliskami starych zabudowań. Delikatna próba nawiązania rozmowy na temat uroków słonecznego dnia, a także pożaru została grzecznie zlekceważona przez młodego mnicha, który zaprowadził go do ojca Menauda i ukłonił się na pożegnanie. Opat czekał na gościa między stosami przemoczonych i osmalonych książek.

Hugo aż cmoknął na widok zniszczeń i wręczył opatowi swoją wizytówkę. Był niskim, krępym i szczupłym mężczyzną po czterdziestce. Miał szeroki nos, ale regularne rysy, i wydawał się dość przystojny. Sprawiał wrażenie eleganta: starannie uczesany, ubrany w dobrze skrojoną brązową sportową marynarkę, beżowe spodnie i rozpiętą pod szyją białą koszulę z lekko połyskliwej, najlepszej egipskiej bawełny. Roztaczał wokół zapach dobrej wody kolońskiej. Opat przeciwnie — nosił luźny habit oraz sandały, a pachniał zjedzoną na obiad kiełbasą i potem. Mogło się wydawać, że spotkali się dzięki pętli czasowej.

— Dziękuję za przybycie aż z Paryża — odezwał się ojciec Menaud.

— Ależ nie ma za co. To moja praca. A kiedy dzwoni do mnie arcybiskup, rzucam wszystko i biegnę.

— To dobry przyjaciel naszego zakonu — odrzekł opat. — Jesteśmy wdzięczni za pomoc i jemu, i panu. Niewiele się spaliło — dodał, szerokim gestem omiatając salę. — Większość strat spowodowały dym i woda.

— Cóż, nie da się raczej zaradzić zniszczeniom spowodowanym przez płomienie, ale te od wody i dymu... Te da się usunąć, jeśli tylko dysponuje się odpowiednią wiedzą i narzędziami.

— I pieniędzmi.

Hugo zaśmiał się nerwowo.

— No tak, pieniądze są równie ważnym elementem. Jeśli wolno mi się tak wyrazić, ojcze, jest mi bardzo miło, że możemy normalnie rozmawiać. Dotąd nie miałem do czynienia z trapistami. Podejrzewałem, że może tu obowiązywać... reguła milczenia i będziemy zmuszeni porozumiewać się pisemnie.

— To nieporozumienie, monsieur Pineau. Staramy się utrzymać dyscyplinę, mówić wtedy, gdy zachodzi taka potrzeba, aby uniknąć błahych i zbędnych dyskusji. Uważamy, że czcze pogaduszki niepotrzebnie odrywają nas od duchowego skupienia i klasztornych obowiązków.

— To podejście i mnie odpowiada, ojcze. Najchętniej od razu przystąpiłbym do pracy. Chciałbym jednak na wstępie wyjaśnić, jak załatwiamy interesy w H. Pineau Konserwacja Książek. Wtedy łatwiej nam będzie określić zadania i przygotować plan działań. Zgoda?

Usiedli przy stole bibliotecznym i Hugo zaczął pokrótce objaśniać metody ratowania zniszczonych przez wodę księgozbiorów. Im starsze książki, jak tłumaczył, tym więcej wody chłoną. Klasztorne zabytki piśmiennictwa mogły przez wodę zwiększyć swój ciężar nawet o dwieście procent, więc gdyby zapadła decyzja o ratowaniu, załóżmy, pięciu tysięcy przemoczonych woluminów, do usunięcia byłoby około ośmiu ton wody!

Najlepszą metodą ratowania zmoczonych książek jest ich zamrożenie, a następnie próżniowe odsysanie wilgoci w kontrolowanych warunkach. Taki proces daje doskonałe rezultaty w przypadku pergaminu i papieru drukarskiego, jednak, w zależności od rodzaju materiału i stopnia nasiąknięcia, niektóre oprawy mogą wymagać gruntownej renowacji. Niezbędne są też zabiegi grzybobójcze, mające na celu zahamowanie rozwoju pleśni, lecz jego firma z powodzeniem niszczy mikroorganizmy gazowym tlenkiem etylenu w cyklach suszenia w zbiornikach liofilizacyjnych.

Następnie Hugo odpowiedział na pytania opata, po czym przeszedł do delikatnej kwestii kosztów. Zaczął od standardowego

ostrzeżenia, że znaczne ograniczenie wydatków mogą przynieść: nowy zakup tych woluminów, które są jeszcze do nabycia, i zastosowanie technik restauracyjnych tylko w przypadku ksiąg najcenniejszych i niezastąpionych. Później podał szacunkową wycenę osuszenia tysiąca książek, uważnie wpatrując się w twarz opata w oczekiwaniu na reakcję. Zazwyczaj na tym etapie szacowania kosztów każdy kustosz czy bibliotekarz zaczyna kląć, ale opat patrzył na niego spokojnie i na pewno nie zamierzał rzucać przekleństw.

— Oczywiście musimy zacząć od ustalenia priorytetów — odrzekł. — Skoro nie da się zrobić wszystkiego, powinniśmy skupić się na ratowaniu uświęconej historii opactwa. Znajdziemy sposób pokrycia kosztów. Dysponujemy przecież funduszem gwarancyjnym, do którego możemy sięgnąć. Moglibyśmy też sprzedać kilka małych obrazów. Ponadto jest jedna księga, wczesnofrancuskie tłumaczenie świętego Benedykta, której wartość także można by uwzględnić przy wycenie, ale... — Westchnął teatralnie. — Pan również mógłby nam pomóc, proponując umiarkowaną cenę, stosowną do naszego stanu duchownego.

Hugo odpowiedział uśmiechem.

— Oczywiście, ojcze, ma się rozumieć. Rozejrzyjmy się razem, dobrze?

Spędzili całe popołudnie na przekopywaniu się przez stosy nasiąkniętych wodą woluminów, prowizorycznej inwentaryzacji i ustalaniu rankingu książek, opartego na ocenie ich wartości historycznej dokonanej przez opata. W końcu, gdy młody mnich przyniósł tacę z herbatą i ciastkami, opat postanowił wykorzystać nadarzającą się okazję i pokazał gościowi książkę zawiniętą w skrawek białego płótna. Leżała z dala od innych na drugim końcu stołu.

— Chciałbym poznać pańską opinię o tej książce, monsieur Pineau.

Hugo siorbnął herbatę, zanim sięgnął po gumowe rękawiczki. Odwinął płótno i z zainteresowaniem popatrzył na elegancką oprawę z czerwonawej skóry.

— To chyba naprawdę coś wyjątkowego! Cóż to jest?

— Prawdę mówiąc, nie wiem. Nie miałem nawet pojęcia, że mam tę książkę w bibliotece. Jeden ze strażaków znalazł ją ukrytą w ścianie. Okładka skleiła się z pergaminem, a nie chciałem

otwierać jej na siłę.

— Dobra decyzja. To kardynalna zasada, chyba że wie się, co się robi. Jest bardzo nasiąknięta wodą, prawda? Proszę tylko spojrzeć na te zielone smugi na brzegach kartek, o, tutaj, i tutaj. A tu mamy czerwone przebarwienie. Nie zdziwiłbym się, gdyby to był ślad rozmytej farby z kolorowych ilustracji. Niestety, barwniki roślinne rozpuszczają się w wodzie. — Spróbował odkleić okładkę, po czym dodał: — Te namoczone kartki nie puszczą bez porządnej liofilizacji, ale mogę już teraz użyć pewnego sposobu, żebyśmy zobaczyli stronę tytułową. Mam podjąć ryzyko?

— Jeśli to bezpieczne...

Hugo wyjął z torby skórzane etui i otworzył je. W środku znajdował się zestaw narzędzi zakończonych ostrzami, łopatkami i haczykami, nieco podobny do kompletu przyborów sekcyjnych albo dentystycznych. Wybrał małą szpatułkę z bardzo cienkim końcem i zaczął ją ostrożnie wsuwać pod okładkę książki, przesuwając milimetr po milimetrze, pewnym ruchem typowym dla kasiarza albo sapera.

Dobre pięć minut zajęło mu oddzielenie okładki na całym obwodzie książki przynajmniej na centymetr w głąb. Kiedy spróbował po raz drugi, ta odkleiła się z głośnym mlaśnięciem i ich oczom ukazała się strona tytułowa.

Opat pochylił się nad ramieniem Hugona i dysząc z podniecenia, odczytał na głos starannie wykaligrafowany łaciński napis:

Ruac, 1307
Ja, Barthomieu, zakonnik klasztoru Ruac, kończę dwieście dwadzieścia lat, a to jest moja historia.

2

W połowie drogi między Bordeaux i Paryżem, w wagonie pierwszej klasy pociągu TGV, Luc Simard stoczył w myślach zaciętą batalię między dwoma swoimi głównymi celami w życiu, to znaczy pracą i kobietami.

Siedział po prawej stronie wagonu, w rzędzie pojedynczych foteli, i czytał uwagi redakcyjne do swojego artykułu dla „Nature". Za przyciemnioną szybą pociągu przemykała zielona równina, ale on prawie jej nie zauważał, pochłonięty dobieraniem właściwych angielskich zwrotów w formułowanych od nowa wnioskach. Zaledwie przed czterema laty, gdy mieszkał jeszcze w Stanach, podobne problemy językowe byłyby nie do pomyślenia, aż sam się dziwił, jak szybko zapomina się pewnych umiejętności, jeśli nie używa się języka na co dzień, nawet jeśli do niedawna sprawnie posługiwało się obydwoma językami.

Zwrócił uwagę na dwie dziewczyny siedzące obok siebie kilka rzędów dalej po lewej stronie, które bez przerwy się wierciły, chichotały i wymieniały uwagi tak głośno, że doskonale je słyszał.

— Moim zdaniem to gwiazdor kina.

— Który?

— Nie jestem pewna. Może piosenkarz.

— No to idź i go zapytaj.

— Sama sobie idź.

Ocenił, że byłoby łatwo zgarnąć papiery i zaprosić obie dziewczyny na kawę do wagonu restauracyjnego. Później, zanim wysiądą na stacji Montparnasse, mogliby się wymienić numerami

telefonów. A jeszcze dziś wieczorem jedna z nich, może nawet obie, byłaby gotowa spotkać się z nim na drinku po tym, jak zje kolację z Hugonem Pineau.

Musiał jednak skończyć pracę nad artykułem, po czym przygotować się do wykładu jeszcze przed powrotem do Bordeaux. Nie miał więc czasu na improwizowane naprędce spotkania, co zresztą powiedział otwarcie Hugonowi, ale jego stary kumpel ze szkoły zaczął nalegać, prawdę mówiąc, wręcz błagać, żeby poświęcił mu parę minut. Miał Lucowi coś pokazać. Obiecał, że Luc nie będzie rozczarowany. W każdym razie mogli przynajmniej zjeść dobrą kolację na cześć starych dobrych czasów. No i poza tym na cześć luksusowej podróży pierwszą klasą i noclegu w apartamencie hotelu Royal Monceau, a wszystko na koszt firmy Hugona.

Luc wrócił więc do artykułu, obszernego studium dotyczącego migracji europejskich ludów zbieracko-łowieckich z okresu ostatniego zlodowacenia górnego paleolitu. Aż trudno uwierzyć, że zaledwie trzydzieści tysięcy lat temu Europę zamieszkiwało tylko około pięciu tysięcy ludzi, jeśli jego zespół nie pomylił się w wyliczeniach. Jedynie pięć tysięcy istot! Gdyby ta skromna gromadka najodważniejszych nie znalazła schronienia przed paraliżującym zimnem w odizolowanych siedzibach w Périgord, Kantabrii i na wybrzeżach Półwyspu Iberyjskiego, nie byłoby tu dzisiaj ani tych dwóch chichoczących młodych dam, ani nikogo innego.

Ale kobiety bezlitośnie przykuwały jego uwagę szeptami i ukradkowymi spojrzeniami. Najwyraźniej były znudzone, a może on wydawał im się nieodparcie przystojny, z gęstymi czarnymi włosami spadającymi na kołnierzyk koszuli i dwudniowym zarostem, z ołówkiem trzymanym w ustach, kowbojskimi butami wystającymi zawadiacko spod obcisłych dżinsów. Pod wieloma względami kojarzył się z kimś dużo młodszym i tylko konieczność noszenia okularów do czytania sprawiała, że wyglądał jak czterdziestoczteroletni wykładowca akademicki, którym zresztą był.

Ostatecznie przeważył kolejny posłany ukradkiem uśmieszek ładniejszej z dwóch panien, tej siedzącej od strony przejścia. Luc westchnął, odsunął papiery i trzema długimi krokami zbliżył się do dam.

— Witam — rzucił przyjaźnie.

— Cześć. Zastanawiałyśmy się razem z przyjaciółką, kim pan jest — odrzekła dziewczyna siedząca bliżej przejścia.

Uśmiechnął się.

— Mam na imię Luc i to powinno wystarczyć.

— Grasz w filmach?

— Nie.

— W teatrze?

— Także nie.

— Więc czym się zajmujesz?

— Jestem archeologiem.

— Jak Indiana Jones?

— Dokładnie tak samo jak on.

Dziewczyna siedząca bliżej przejścia zerknęła na koleżankę i zapytała:

— Nie zechciałbyś napić się z nami kawy?

Luc wzruszył ramionami, odsuwając przelotną myśl o niedokończonej pracy.

— Tak, oczywiście — odparł. — Czemu nie?